Rozmaitości

Dnia 13. października **Nr 41.** 1838. roku.

RÓŻA MARTIN.

Z francuzkiego.

Właśnieco wybiła piąta z rana. Słońce już wzejszło, a jego złoty, z ukosa spadający promień oświetla alabastrowy posąg, stojący w kącie, który dwie ulice, *Pastourelle* i *du Temple*, zbiegające się formują. W ostatniéj, najludniejszéj, która prosto na plac *Grève* prowadzi, powstaje zwykle o téj godzinie wielki ruch i zatrudnienie. Jestto miesiąc październik, w którym wszyscy mieszkańcy z *la Limoge*, z koszem na plecach, kielnią w ręku i bochenkiem chleba pod pachą, zbiérają się z największym pospiechem na placu *hôtel de Ville* dla znalezienia na dni kilka roboty, która się w téj porze roku coraz rzadszą staje. Nie na dobre tym wyjdzie, którzy o téj porze, wracając z uczty lub zabawy, w czarnych frakach przez to miejsce przechodzić muszą. Ich smakowny ubior nie ujdzie spotkania się z opruszonemi wapnem kaftanami pracowitych mularzy.

Cztérech mężczyzn, z których jeden széroki płaszczem osłonięty, a drudzy trzéj w czarnych, prostych surdutach, usiłowało już kilkakrotnie z najprzykładniejszą cierpliwością otrząść z siebie nieprzyjemne tego spotkania skutki, a jednak nie oddalają się z miejsca: jeden wcisnął się w kąt tylnéj bramy, drudzy dwaj stoją pośród ulicy, a czwarty na rogu, przy gościńcu *Gravilliers*, zajął stanowisko. Nie zdaje się, abyto byli goście wracający z wesela; na twarzy ich maluje się jakaś surowość, okazująca wyraźnie, że ani przy dźwięku muzyki, ani w gronie wesołych tancerzy, nie spędzili nocy. Uzbrojeni są grubemi, sękatemi laskami, któremi bądź dla rozrywki, bądź dla nadania sobie większéj powagi, złoskotem o bruk uderzają; oczy ich zwrócone są na towarzysza czarnym płaszczem okrytego, który stanąwszy przed domem, w niejakich przestankach stuka potężnie do drzwi.

»Aha! to jest straż kupiecka,« rzekła jedna z mléczarek do chłopca, otwiérającego okiennice od sklepu; »teraz kto może, niech bierze nogi za pas; bo ten, co się w tych ptaków szpony dostanie, nie bardzo cieszyć się będzie!«

Mleczarka nie omyliła się w swym domyśle; byłato w samej rzeczy straż policyjna z urzędnikiem na czele; a najlepszym tego było dowodem, że nim jeszcze pół godziny ubiegło, już przed strzeżonemi drzwiami stanął powóz, do którego wkrótce, jeszcze ściśléj strzeżony wsiadł mężczyzna; poczém woźnica zaciąwszy konie, ku ulicy *la Clef* pogonił.

»Kogożto powieziono?« służąca zapytała czeladnika, który się razem z nią téj rannéj scenie przypatrywał.

»Pana Martin,« odrzekł czeladnik; »przepadł nieborak!«

»Dokądże go powieźli?«

»Do więzienia *St. Pelagie;* lecz on nie bardzo się zmartwi, gdyż mu tam na niczém zbywać nie będzie. Można w téj mierze zapytać się naszego sąsiada, który za długi wzięty, właśnie nie dawno ztamtąd powrócił.«

° ° °

Na trzy miesiące przed tym wypadkiem, pewien mężczyzna, mający już około lat pięćdziesiąt, przyszedł do bankiera, mieszkającego przy ulicy *Barbette*, i prawie drżący z bojaźni, by mu jego prośby nie odmówiono, rzekł bardzo skromnym głosem:

»Czy nie byłbyś wćpan tak grzecznym zaliczyć mi na ten weksel gotówką?«

»Nie znam wćpana,« odrzekł mu krótko, ponury i przykry starzec, który zmarszczywszy gęste, obwisłe brwi, ocieniające małe świecące jego oczy, rozparł się wygodnie w miękkiem krześle poręczowém. »Powiadam wćpanu, że go nie znam!« powtórzył ozięble, gdy proszący ośmielił się jeszcze raz przedłożyć mu swe żądanie; »i nie mogę przyjąć wekslu od piérwszego lepszego człowieka, który się mi nawinie.«

»Ależ mnie zapewniono, że wćpan znasz dokładnie wydawcę tego wekslu, i dla tego dano mi adres do wćpana.«

»Bardzo naturalnie, żeś wćpan musiał miéć adres, by mój dom wynaleźć; lecz ja nie znam wćpana.«

»Mieszkam przy ulicy *du Temple*, zowię się Martin, i jestem z profesyi złotnikiem;« rzekł wzywający pomocy, patrząc trwożliwie na starca, podczas gdy tenże przeglądał weksel, na którym było jego nazwisko i pomieszkanie zanotowane.

»Nie jestem przy pieniądzach, a przytém interes ten, nie wart mego zachodu. Dom wprawdzie, na który weksel ten idzie, nie jest mi nieznany; jednakże dziś tego wekslu przyjąć nie mogę; przyjdź wćpan za dni ośm, a może wtedy będę przy pieniądzach, gdyż przez ten czas znaczna kwota wpłynie do mojéj kasy.«

»Dopiéro za dni ośm? to jest czas bardzo długi; mnie potrzeba téj kwoty już jutro, gdyż na nią rachowałem; albowiem przyznam się wćpanu, żem o tém nie wiedział, iż zamiast gotówki, weksel otrzymam. Byłbym wćpanu niezmiernie obowiązanym, gdybyś...«

»Ależ do licha!« mruknął starzec, wlepiwszy przenikający wzrok w pobladłą twarz złotnika; »zawierz mi wćpan, iż dzisiaj wielką dla mnie przykrością ułatwienie tego wekslu — jednakże dla wybawienia wćpana z kłopotu przyjmę!«

»Lecz chciéj być z łaski swojéj umiarkowanym co do procentu!«

»Ile w mojéj możności,« odrzekł starzec. Weksel, na 624 franków, opiewający na trzy miesiące *de dato*, porachowano po 18 od sta i wciągniono do książki rachunkowéj. Biedny złotnik, usłyszawszy tak wielki procent, mocno się zmartwił; ale cóż miał począć? Potrzebował koniecznie pieniędzy; nic mu nie pozostało, jak tylko milczéć i nieczułemu lichwiarzowi gorzkim podziękować uśmiechem.

Razem z tym biletem przedał złotnik Martin i wolność swoję. Po upływie bowiem terminu, nie był w stanie zapłacić; podstępne bankructwo domu, który ten weksel wydał, pozbawiło go nawet wszelkiéj nadziei zachowania się od zguby, gdyż zarobkiem z pracy swojéj powrócić bankierowi drogo pożyczone pieniądze, nié miał dostatecznego czasu.

* * *

W tym samym kupieckim domu, który przywiódł do upadku złotnika Martin, znajdował się pewien młody człowiek, nazwiskiem Jules Lenoir. Był on tamże expedytorem i synem bankiera przy ulicy *Barbette*; z resztą piękny, smukły chłopiec, mający lat dwadzieścia i dwa, gładką, rumianą twarz, pięknie strzyżony czarny wąsik i długie, aż na szyję wedle ostatniéj mody spadające włosy. Młody człowiek ten, nauczywszy się po grecku i po łacinie, otrzymawszy piérwszą nagrodę z wymowy i estetyki, wyszedł po to ze szkół, aby wstąpił do kupieckiego domu, i tamże układał pakiety lub podobne odbywał zatrudnienia! Dzięki jeszcze jeniuszowi i pilności jego, iż w tym zawodzie w krótkim czasie nabył wielkiéj doskonałości. Tym sposobem posunął się na wyższy stopień, i postępując coraz wyżéj, dano mu nareszcie pisać listy, załatwiać niejaką część korespodencyi, aż nakoniec ten wysoki osiągnął stopień, iż mu powierzono wynajdywanie dla obstalunków za granicę takich rzemieślników, którzy w zarobkowości wieczną ze sobą toczą wojnę, i z tego powodu dla zgubienia siebie i drugich, za bardzo mierną robią cenę. Tym sposobem zabrał także znajomość z naszym złotnikiem Martin, do którego jednego razu przyszedł z poleceniem osadzenia klejnotami wytwornego dyjademu. A ponieważ przypadek zdarzył, iż jubiler ten miał bardzo piękną córkę, zarzucano Juliuszowi Lenoir w kantorze, iż nazbyt drogo za dyjadem zapłacił; gdyż takowy zamówiony był dla pewnego kupca na prowincyję, który za towary także nie gotowką, lecz wekslami płacił. W ten sposób tracą rzemieślnicy na dochodach swego zarobku, a kupcy panoszą się procentami!

Róża Martin była najładniejszą ze wszystkich dziewcząt, które w Paryżu trudnią się

polerowaniem naczyń srebrnych; wszakże piękność ta nie była jedyną jéj zaletą. Słynęła ona prócz tego jako cnotliwa i dobrze wychowana dziewczyna. Od śmierci swojéj matki, która prawie w tymże samym czasie umarła, w którym Róża skończyła swą naukę, bawiła zawsze przy swoim ojcu. Miała blizko lat ośmnaście. Skoro po raz pierwszy ujrzała Juliusza Lenoir, już jéj serce za nim przemawiać zaczęło; działo się to w tym samym dniu, gdy Juliusz przyszedł do jéj ojca zamówić ów dyjadem nieszczesny. Jego sposób wyrażenia i zachowania się był tak ogładzony, całe ułożenie jego tak ujmujące, iż zaraz w piérwszéj chwili zjednał sobie przychylność Róży. Im skromniéj wychowana i niewinniejsza dziéwczyna, tém łatwowierniejsza!

Jedno spojrzenie tego anioła, przekonało Juliusza Lenoir, który prócz tego o swoich osobistych przymiotach miał dobre rozumienie, iż w sercu téj młodéj, niewinnéj dziéwczyny, miłosne wzbudził uczucie. Nie zaniedbał więc żadnego dnia dowiadywać się: czy spieszno idzie robota, i tym sposobem przywiązując się coraz bardziéj do Róży, coraz niechętniéj oddalał się z domu jubilera. Jednakże byłoto rzeczą osobliwszą, iż piérwszy raz w życiu uczuł w sercu swojém jakąś nieśmiałość, któréj dotychczas nigdy nie doznawał w obecności żadnéj dziéwczyny, chociaż w podobnych okolicznościach nie był bynajmniéj bez doświadczenia.

Dotychczas nie śmiał on jéj pisywać, a tém bardziéj wspominać o swéj miłości; gdyż nie tylko baczne oko ojca, który mógł zgadywać tych częstych odwidzin powody, ale nawet skromne i niewinne serce dziéwczyny nakazywały mu w téj mierze przezorność i poważanie.

Nakoniec zaczął się przybliżać dzień, w którym miała być skończoną i oddaną robota, a miłość młodego Lenoir nie pozyskała szczęśliwszego powodzenia. W tém będąc położeniu, musiał uzbroić się odwagą i napisał list, godny zupełnie ucznia, który z wymowy i stylu piérwszą otrzymał nagrodę. Drogi bilecik ten, przesiąkniony wonią i blichtrami poezyjnemi, wywabił z pięknych ócz Róży rozkoszne łzy miłości. Jednakże skoro piérwsze uniesienie radości przeminęło, Róża postanowiła odkryć wszystko przed swoim ojcem. Przyznała się przed nim, że kocha Juliusza Lenoir i pokazała mu list od niego. Ojciec, przekonany o niewinności i dziecięcém posłuszeństwie swéj córki, postanowił w tym względzie pomówić z nim osobiście, a gdy nazajutrz Lenoir przyszedł do jubilera o zwyczajnéj godzinie, zastał go w pracowni samego.

Ojciec Martin nie był wprawdzie uczonym, ale jeden z tych prostych, otwartych, naturalnym rozumem obdarzonych ludzi, których bardzo często znajdujemy pomiędzy średnią klasą. Wychowanie, którego nie odebrał za młodu, starał się własném zastąpić ukształceniem; tym sposobem nabył doświadczenia i wiadomości, dla których go, jako człowieka biegłego w swym zawodzie, a przytém mającego zdrowy rozsądek, powszechnie poważano. Juliuszowi Lenoir wiadome były jego zalety, i dla tego, ujrzawszy się z nim sam na sam, uczuł w sercu swojém jakąś obudzającą się nieśmiałość. Na twarzy złotnika panowała surowość i powaga. Juliusz domyślił się natychmiast, że Róża wszystko przed swym ojcem wydała. Nie umiał się więc znaleźć i zaczął od zwyczajnego zapytania: »No, jakże tam mości Martin? pracujesz wćpan pilnie nad dyjademem?«

»Przeciwnie, pracuję teraz nad odpowiedzią na ów list, którym wćpan zaszczyciłeś moję córkę;« odrzekł jubiler z uśmiéchem.

»Zawierz mi, panie Martin...« rzecze młody Lenoir pomieszany.

»Ja tylko w to wierzyć mogę, coś wćpan w swoim liście mojéj córce wyraził, to jest: że ją kochasz i uszczęśliwić pragniesz.«

»O niezawodnie, panie Martin, bądź wćpan przekonanym, że nie mam innych, jak tylko te zamiary.«

»Jeżeli tak, to pięknie — to się mi podoba. Ale powiedzże mi wćpan, jakim sposobem starać się będziesz uszczęśliwić moję córkę?«

»Ja się wćpana o to pytam: jakim sposobem uszczęśliwiamy dziéwczynę, którą kochamy?«

»Jeżeli ją u ołtarza za żonę bierzemy!« odrzekł ojciec Martin.

»Przysięgam wćpanu, że nigdy nie miałem innéj myśli.«

»A przecież wćpan w liście swoim mówisz o wszystkiém inném, a o zamężciu ani słowa.«

»Przysięgam, że.....!«

»O, tego nie potrzeba, gdyż wiadomo, jak w tej mierze przysięga nie jest żadnym dowodem. Jeżeli wćpan sobie życzysz, abym w jego zamiary i przysięgi uwierzył, należy, aby ojciec wćpana starał się dla niego o rękę mojéj córki... Tak wypada przystępować do rzeczy, kto uczciwie zamyśla; ale kto pisuje bileciki do córki, nie uwiadomiwszy o tém jéj ojca, ten nie najuczciwsze okazuje zamiary. Jak powiedziałem, przyjdź wćpan ze swemi rodzicami, i żądaj ręki mojéj córki, a otrzymasz ją niezawodnie.«

Dobrze tak było mówić ojcu swego dziecięcia, ale młody Lenoir, szukający za żoną bogatego posagu i wygodnego na przyszłość życia, miał wcale inne w głowie swojéj układy. Róża była ubogą. Miłość jego dotychczas nie dozwoliła mu zważać na te niedogodne stosunki, ale w téj chwili ocknął się w nim przezorny duch kupiecki, który tę namiętność przytłumiać zaczął. Z równą przezornością zataił w intrydze prawdziwe swojéj familii nazwisko. Miał do tego bardzo ważne powody; wiedział on aż nadto dobrze z jaką surowością ojciec jego karał każdy postępek, który się ze ścisłemi zasadami rzetelności nie zgadzał. Przed złotnikiem Martin, równie jak w innych miejscach, nazywał się tylko Juliuszem; dla tego nie mało był zmieszany, gdy go teraz o nazwisko jego ojca zapytano. Nareszcie odrzekł:

»Ojciec mój nazywa się Lesueur i mieszka w Lugdunie.«

»Doniósłżeś mu wćpan o swojém do mojéj córki przywiązaniu?«

»Nie; dotychczas jeszcze nie doniósłem.«

»Widzisz wćpan, to jest bardzo nie pięknie, bardzo nieprzyzwoicie z wćpana strony! Ale może on jest bogatym, a wćpan obawiasz się aby mu nie odmówił dla tego, że ja ubogi jestem?«

»Ojciec mój za wiele mnie kocha, aby mi miał odmawiać to, od czego całe moje szczęście zawisło.«

»Sądzę, iż się to nie za długo okaże. Napisz wćpan do swego ojca i nie bywaj u mnie, aż dopokąd nie otrzymasz od niego odpowiedzi.«

»Ach, kochany panie Martin, to potrwa bardzo długo!«

»Ale to jest mojém nie odzowném postanowieniem, a wćpana powinnością jest stosować się do woli mojéj; albowiem już aż nadto zbliżyłeś się do mojéj córki bez wiedzy swych rodziców. Napiszże im wćpan, a jeżeli ojciec wćpana tak mocno kocha go, jak ja kocham moję córkę, możesz spodziéwać się z pewnością uiszczenia życzeń swoich.«

Dobitność, z jaką Martin te ostatnie słowa wymówił, świadczyła bardzo wyraźnie, iż się dłużéj woli jego opiérać było niepodobna. Juliusz Lenoir zmartwiony niewczesną delikatnością starca, opuścił pomieszkanie jego z wielkiém nieukontentowaniem.

* * *

Ośm dni upłynęło, a Juliusz nie pokazał się w domu ojca swojéj kochanki.

Stary Martin skończył tymczasem zamówiony dyjadem. Odniósłszy go otrzymał zań kwotę w trzymiesięcznym bilecie, i ślepym trafem spieniężył go u ojca Juliusza, którego mu jako bogatego zalecono kapitalistę. Ale młody Lenoir, nie mieszkający w domu swego ojca, nie wiedział bynajmniéj o tym wypadku.

Biédna dziéwczyna, która odpowiedź ojca swego słyszała i ze wszech miar słuszność mu przyznawała, nie mogła jednakże tyle na sobie przemódz, aby w sercu swojém tęsknoty i zmartwienia nie uczuła. Stary Martin zadał sobie pracy nie mało pocieszać ją ile możności; usiłował wszelkiemi sposobami swojéj wymowy udowodnić: iż ojcowie w podobnych okolicznościach nie bardzo zwykli spieszyć się z odpowiedzią, i że zawsze wprzódy —co nawet jest rzeczą bardzo słuszną—starają się zasięgnąć wiadomość o familii, z którą w związki pokrewieństwa wejść zamyślają. Lecz to wszystko nic nie pomogło; obawa jéj rosła, a jéj tęsknota z każdym dniem wzmagała się coraz bardziéj.

Nakoniec pewnego poranku wszedł Juliusz z radością na twarzy do pokoju złotnika. Róża, ujrzawszy go, skrzyknęła z ukontentowania, a przyjemny uśmiech umilił usta jéj ojca, gdy Juliusz zawołał: »Oto przynoszę odpowiedź!« To rzekłszy wręczył dziéwczynie list z pocztowym znakiem: Lugdun. Złotnik otworzył z pospiechem, i czytał, co następuje:

»Kochany synu!

»Mało ja pytam o majątek, skoro chodzi »o to, abym ustalił szczęście twoje; jeżeliś »znalazł, jak mi piszesz dziéwczynę, którą

»kochasz serdecznie, i która godna jest twojéj »miłości; chociaż uboga, chętnie ją przyjmę »za moję córkę. Jesteś wprawdzie jeszcze »za młody, niedoświadczony, i byłbym sobie »życzył, abyś w tym względzie cokolwiek był »się dłużéj namyślił; ale jeżeli już koniecznie »życzysz sobie mieć żonę, żeńże się w Imię »Boskie! W krótkim czasie spodziéwam się »być w Paryżu, a może prędzéj, a niżeli się »spodziéwasz; wtedy pomyślimy o weselu. »Nié masz w tém nic pilnego, kilka tygodni »lub kilka miesięcy, nie zmienią przecież ani »twojéj miłości, ani mego zezwolenia. Bądź »tylko jak byłeś dotąd uczciwym, zacnym »młodzieńcem, a pozyskasz sobie moje błogo»sławieństwo.«

List ten miał jeszcze niektóre ojcowskie napomnienia w dopisku; był nie mało przyzwalający, jednakże nie zdołał rozpędzić chmury, która się na czoło złotnika wtoczyła.

»Kilka tygodni — kilka miesięcy,« rzekł półgłosem do siebie, patrząc na przemiany to na Różę, to na Juliusza; ale na twarzy córki swojéj czytał tak wielką radość, iż mu żal było niszczyć to ukontentowanie wyrażeniem podejrzenia, które powstało w jego sercu.

* * *

Od tego dnia miał Juliusz wolny wstęp do domu jubilera; wszelako baczne oko ojcowskie czuwało troskliwie nad honorem swéj córki. Upłynęły tygodnie, miesiące — a upragniony pan Lesueur ani się pokazał, ani dał o sobie słyszéć. Niecierpliwość i podejrzenie jubilera rosły dzień za dniem. Nareszcie napisał do pana Lesueur do Lugdunu, podług adresu, który otrzymał od Juliusza; albowiem tenże nie spodziéwał się, aby stary Martin aż do tego stopnia posunął swe podejrzenie. Lecz nadaremnie; z Lugdunu żadnego nie otrzymał odpisu. Wtedyto dopiéro udał się do ostatniego środka: zaczął najstaranniéj dowiadywać się o prawdziwych stosunkach Juliusza; ale niestety, było już za późno — z boleścią serca dowiedział się, że jest oszukanym... Z nieposkromionym gniewem w sercu i z głębokim smutkiem na twarzy, przyszedł Martin do domu. Róża, dowiedziawszy się o swojém okropném nieszczęściu, zalała się rzewnemi łzami.

»Co za bezsumienny, bezwstydny zdrajca! zmyślony list i zmyślone nazwisko!« powtarzał Martin co chwila, dla przekonania swojéj córki, jak niegodziwemu człowiekowi poświęciła miłość swoję. »Jutro go przyjmę, jak zasłużył. Ze wstydem wypędzę go z mojego domu, i zakazuję ci na zawsze, abyś odtąd nie ważyła się z nim widywać, słyszysz! pod utratą mego błogosławieństwa... Nie prawdaż Różo, ty go nie chcesz już widziéć?«

»Nie chcę, mój ojcze!« odrzekła Róża z płaczem.

»Tegom się spodziéwał. Co za szkaradny człowiek! wtrąciłabyś mnie do grobu, gdybyś jeszcze dłużéj kochać go mogła. Nikczemnik ten nie godzien twojego przywiązania. Jeżelibym go kiedykolwiek przy tobie zastał, cóżby go czekało, sama osądź: oto śmierć z mojéj ręki, że nas tak haniebnie oszukał!«

Zdaje się, iż Juliusz dowiedział się o tym wypadku; gdyż od tego czasu poprzestał bywać w domu jubilera.

Ale nieszczęście rzadko kiedy zwykło przychodzić bez towarzysza. Nazajutrz otrzymał Martin nakaz od sądu, aby weksel na 700 franków w 24 godzinach zpłacił.

»O, mój Boże! teraz zginąłem!« zawołał biédny ojciec, upadając na krzesło. Róża poskoczyła ku niemu z wykrzykiem rozpaczy. Łzy, które dotychczas wylewała z miłości dla zwodziciela, zamieniły się teraz w łzy żalu i politowania dla rozpaczającego ojca. Jedna boleść stłumiła drugą.

Ojciec Juliusza Lenoir wyjednał sobie u sądu przeciw dłużnikowi zabór ruchomości, i uwięzienie osoby. Róża, pośród lichych sprzętów domowych, które jéj grabież pozostawiła, została się sama ze swoim żalem. Każdego dnia biegła do nieczułego wierzyciela, prosząc ze łzami o miłosierdzie, a ztamtąd z niczém odprawiona wracała do *St. Pelagie*, gdzie większą część dnia przepędzała przy boku swego ojca, starając się ile możności dopomódz mu do utrzymania, na które sobie i w więzieniu zarabiał. Z tym większą ochotą i pilnością przykładała się do pracy, im bardziéj się pocieszała nadzieją, uzbiérać przez to kwotę na wybawienie ojca swego z haniebnego więzienia.

* * *

Pewnego dnia, właśnie w téj chwili, gdy wychodziła z domu w celu udania się w ulicę *de la Clef*, odskoczyła przelękniona ode drzwi.

Skrzyknęła z przestrachu: boto był Juliusz, którego zobaczyła. Dowiedział się on o uwięzieniu starego Martin i sądził, iż Róża, pozbawiona ojcowskiéj opieki, nagabaniom jego oprzéć się nie zdoła. Takato sromotna myśl skłoniła go do tych odwidzin. Atoli, ujrzawszy przed sobą nieszczęśliwą, jak śmierć bladą i zapłakaną dziewczynę, zmieszał się, stracił przytomność, zaczął drżéć na całém ciele i zapomniał o wszystkich wyrazach, któremi miał uniewinniać swoje postępowanie.

Juliusz był lekkomyślnym, ale nie był nieczułym. Nagle ujrzał swoję zbrodnię w całéj okropności, i czując się być winnym, spuścił oczy przed czystą, niewinną Różą, która nie będąc w stanie utrzymać się na nogach, padła na krzesło i zaledwo wstrzymać się mogła od płaczu. Głęboki żal dziewczyny, malujące się zmartwienie na jéj twarzy, połączone z smutnym widokiem, który przedstawił pusty, z wszelkich ruchomości ogołocony pokój złotnika, obudziły w młodym Lenoir uczucie, które dotychczas sercu jego było nieznane. Najtkliwsze politowanie zjęło go na widok pożałowania godnéj istoty i nad nędznym jéj stanem, z którego zamyślił był korzystać, by ją bardziéj jeszcze unieszczęśliwić. Prawdziwą, poświęcającą się miłością życzył sobie w téj chwili zmazać swą winę i nagrodzić sprawioną krzywdę; teraz bowiem razem z żalem i politowaniem ocknęło się w sercu jego jeszcze mocniejsze przywiązanie do Róży. Lecz nadaremnie szukał w swéj głowie słów pociechy, wstyd zamknął mu usta, i tak stali oboje przez chwilę w najgłębszém milczeniu.

»Przyszedłeś mój panie, przekonać się na własne oczy o téj okropnéj nędzy, w którą nas wtrąciłeś?« rzekła nareszcie Róża, podnosząc do Juliusza zapłakane oczy.

»Zasłużyłem na ten zarzut, a nawet i na większy. Lecz zaklinam cię pani, nie chciéj potępiać mnie w téj chwili, gdy mnie już własne potępia udręczenie. Nieszczęście ojca pani cięży srogo na mojém sercu, a ja o niczém teraz nie myślę, jak tylko nad sposobem, jakby temu zaradzić można!«

Młoda dziewczyna, spojrzawszy z dumą na Juliusza, odrzekła oziębłe: »Bardzo się mylisz wćpan, jeżelibyś sądził, iż ja, z powodu związków, które nieszczęsnym sposobem między nami zaszły, a które na zawsze w niepamięć puściłam, czynię mu te wyrzuty. Nie za utratą tego, który stał się sprawcą naszego nieszczęścia, lecz za moim ojcem płaczę!«

»Na wszystko, co mi tylko jest świętém, przysięgam ci pani, iż zamawiając dyjadem u twojego ojca, nie wiedziałem podówczas bynajmniéj, aby dom, w którym zostawałem, był blizkim bankructwa, i gdyby w mojéj mocy było naprawić nieszczęście, które najniewinniejszym sposobem na was ściągnąłem, Bóg jest moim świadkiem, iż żadna ofiara nie byłaby dla mnie za wielką!«

»W jakimże właściwie zamiarze przyszedłeś tu wćpan?«

»Wziąłem sobie za powinność, kochana Różo, pocieszyć cię ile możności udzieleniem nadziei, która moje serce ożywia.«

Radosny uśmiech zajaśniał na licu pięknéj dziewczyny i zarumienił łagodnie pobladłe jéj jagody. »Ach mów wćpan czém prędéj, niech natychmiast biegnę i uwiadomię mego ojca!«

»Jeszczeby zawcześnie było, kochana Różo, nie powiadaj mu jeszcze ani słowa; bo zawiedziona nadzieja bardziéj pognębia, niźli samo nieszczęście. Gdyby zamiar mój spełzł na niczém, ojciec pani obwiniałby mię o nową zdradę. Ja zamyślam przedstawić nieszczęście jego przełożonemu domu, w którym teraz zostaje; jestto człowiek zacny, może będę tak szczęśliwym, że go namówię, aby za ojca twego pani zaręczył. Lecz na to trzeba czasu i cierpliwości.«

»Ach, mój Boże! może znowu jaki podstęp!« zawoła Róża załamując ręce.

»Podstęp? Biédna dziewczyno, ciebie pozór w błędzie trzyma,« odrzekł Juliusz spokojnie i z godnością; byłem więcéj nieszczęśliwym, a niżeli kary godnym. Ojciec mój dowiedziawszy się o tajemnéj mojéj miłości, ścigał mnie swoim gniewem; lękając się, aby gniéw jego, kochana Różo, nie spadł i na twoję głowę, byłem zmuszony taić przed nim nazwisko twego ojca. Wszelką moję nadzieję pokładałem w przyszłości; sądziłem, iż czas ugnie dumę mego ojca, i że późniéj przekonawszy się, iż tylko pani uszczęśliwić mnie możesz, niezawodnie skłoni się do mojéj prośby. Lecz widząc, jak ojciec pani jest podejrzliwym i obawiając się, aby mi przez ten czas nie zabronił lubego z nią obcowania, użyłem niegodziwego środka i — oszukałem go. Oto, kochana Różo, całe moje przewinienie!«

»Dosyć, mój panie! aż nadto dosyć. Ojca mego nié masz w téj chwili, by słuchał uniewinnień wćpana, które oprócz tego na nic się nie przydadzą; gdyż familija wpana — mój ojciec...« płacz nie dozwolił jéj daléj mówić; łzy stłumiły jéj mowę.

»Różo!« ozwał się z nieśmiałością Juliusz, wziąwszy ją tkliwie za rękę.

»Oddal się wćpan! zaklinam go na miłość Boską, oddal się! Przebóg, gdyby o tém wiedział mój ojciec, żem tak była słabą i słuchała uniewinnień wćpana, przekląłby mnie na zawsze!«

»Jestem pani posłusznym. Odchodzę, ale jedynie dla tego, abym wkrótce z pomyślniejszą powrócił wiadomością.«

Juliusz oddalił się, a Róża zalała się łzami.

(Dokończenie nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 49. i obejmuje przedmioty następujące: 1) Machina do koszenia. 2) Zimowe łąki w Medyjolanie. 3) Różne sposoby polowania w południowej Ameryce. 4) Polowanie we Włoszech. 5) Maść na rany u owiec. 6) Doskonały sposób robienia i wypalania dachówek. 7) Sposób łatwy i prosty nadania niciom, szpagatom, sznurom, powrozom, linom, grubym płótnom, sieciom rybackim i t. d. wielkiej mocy i wytrwałości na wilgoć. 8) Środek przeciw wilgoci w murach. 9) Sposób zrobienia dobrej gospodarskiej świécy. 10) Ażeby strzelby nie rdzewiały. 11) Flanelę prać. 12) Powóz parowy p. Russel. 13) Nagrody tyczące się fabrykacyi cukru. 14) Łatwy sposób, żeby stalowe piórka nie psuły się.

Wiadomości literackie. Zbiory artykułów różnych autorów, zgromadzonych w jednę całość i wydanych przez jednego, zaczynają wchodzić teraz w zwyczaj. W Wilnie także pojawił się zbiór podobny, pod tytułem: *Bojan* (piewca sławiańsko-ukraiński z czasów starożytnych) wydany przez Adama Pieńkiewicza. W poezyi czytamy tu artykuły między innemi Ludwika Kropińskiego, J. I. Kraszewskiego, Tomasza Padurry i t. d.; pióra kobiet: Izabelli Łukaszewiczówney i Konstancyi Pieńkiewiczowéj; w prozie, jak zwykle, odznacza się Kraszewski, ów niewyczerpany współpracownik »Tygodnika Petersburskiego,« a teraz także poznańskiego »Tygodnika.« Godnym mianowicie uwagi jest artykuł jego w stylu i pisownią XVI. wieku: *Yako sathan kusił pustelnika na puszcze. Legenda, kthorą opowiedał pan Mikołay Rey z Nagłowice u pana Pszonki na Babinie* (w miejscu onéj sławnéj rzeczypospolitéj babińskiéj). S. J.

Bibliotekarz uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, uczony J. Muczkowski, pracuje nad historyją tegoż uniwersytetu. Autor z innego zupełnie stanowiska zapatruje się na historyją akademii, niż ją uważał Radzimiński i Sołtykowicz.

Przekłady z angielskiego. Tom drugi *Tłumaczeń A. E. Odyńca* (wydawanych u Breitkopfa i Härtla w Lipsku), zawiera poemat Byrona: Narzeczona z Abydos (znany z dawniejszego przekładu Ostrowskiego) i Moora: Czciciele ognia.

Z Londynu. Muzykalna *rodzina Kąckich* przebywa teraz w Londynie. Młody Apolinary Kącki zajmuje powszechnie grą swoją. Nie dawno miał zaszczyt grać na wieczornéj zabawie u królowéj Wiktoryi.

Teatr żydowski. Pismo lipskie: *Allgemeine Zeitung des Judenthums* (N. 89), w artykule korespondencyjnym z Warszawy, donosi o tamtejszym żydowskim teatrze, na którym sztuki w żydowsko-niemieckiém narzeczu przedstawiane bywają. Teatrem tym kieruje niejaki Izaak Schanspieler (nazwa, którą sobie przed kilka laty sam nadał). Jest on zarazem autorem wielu niedrukowanych sztuk teatralnych w powyższém narzeczu. Jego dramat *Moses* ma (zdaniem korespondenta) zawierać nader wzniosłe myśli.

Polyglotyczne życzenie szczęścia. Sławny znawca języków *Mosignor Mezzofanti*, niegdyś lat wiele bibliotekarz w Bononii, został, jak wiadomo, wyniesionym ostatniemi czasy przez Ojca ś. na godność kardynała. Z tego powodu c. k. austryjacka załoga w Bononii postanowiła temu wielkiemu polyglotowi, w znak wysokiego poważania, przesłać polyglotyczne życzenie szczęścia we wszystkich językach armii austryjackiéj. Jakoż niemiecką na cel ten napisaną poezyję przełożono na języki: węgierski, czeski, polski, włoski, iliryjski, sławoński, wołoski i t. d. i posłano do Rzymu owemu wielkiemu lingwiście. *(Allg. Zeitung.)*

Odwidziny u Woltera. Z jakim zapałem, posuniętym aż do śmieszności, uwielbiany był Wolter w Paryżu, po swoim powrocie z Berlina, jest dowodem list następujący, który baron Villevielle, najszczerszy jego przyjaciel, napisał do hrabiny d'Adséman, piérwszéj nadwornéj damy królowéj, gdy takowa temu wielkiemu poecie złożyć chciała swoje uszanowanie. Albowiem gdy hrabina kazała zaprosić do siebie barona, ażeby ją przedstawił Wolterowi, odpowiedział tenże z wielką powagą, iż nie może rychléj przyjść, jak o drugiéj godzinie w nocy, gdyż nie oddala się od swego przyjaciela Woltera, jak tylko od piérwszéj do piątéj godziny z rana. Jakoż w saméj rzeczy, baron Villevielle, powodowany samą przychylnością i uszanowaniem dla Woltera, pełnił u niego służbę pokojowca, zausznika i tym podobnie, tak dalece, iż z tego powodu u dworu, dla żartu drugim Wolterem go nazywano. Gdy mu hrabina odpowiedziała, że pod tę porę sypiać zwykła, podobnież jak i jéj ludzie, a że mu bardzo obowiązaną będzie, jeżeli nazajutrz ją przedstawi; baron w ten sposób jéj odpisał: »Hrabino! Najpiękniejszą w mém życiu będzie niezawodnie ta chwila, w któréj wielkiemu mężowi przedstawię tak wielkiego uszanowania godną osobę. Zatrudnienia, któréini się z przywiązania do pana Woltera zajmuję, są dla mnie bardzo miłe. Właśnie mówiłem z nim o pani; gniewa się on sam na siebie, że ci nie może złożyć swego uszanowania, lecz on nie wychodzi, i uprasza cię hrabino mieć go za wymówionego, jeżeli cię w szlafroku przyjmować będzie. Wszak pani nie żądasz widzieć powierzchowności, tylko chcesz nacieszyć się tym boskiem jeniuszem, którego sława końca mieć nie będzie. Wolter o godzinie 2giéj spodziewa się u siebie pani Necker i jéj córki, o pół godziny poźniéj pani Montesson i hrabiny Genlis, o pół do 4téj hrabiny Beauveau i marszałkowéj Mircpoix. Godzina czwarta nie jest zajętą, przyjedź więc pani, gdyż na godzinę pół do piątéj, pani Deffant jest zamówioną. Jednakże chciej pani z łaski swojéj oszczędzać słabych jego piersi i nadwątlonego zdrowia; my wszyscy bowiem jesteśmy odpowiedzialni potomności za każdą chwilkę, któréj pana Woltera bezpożytecznie pozbawiamy. Uwaga ta nie dotyczé się pani hrabiny, tylko tych natrętnych osób, które się poecie bezwzględnie naprzykrzają. Zostaję z największém uposażaniem i t. d. Dopisek: Osoby odwidzające zwykły ściskać tego sławnego poetę; lecz nie należy ściskać go za mocno; albowiem ten pochlebny dowód zapału, czyni go niespokojnym, jeżeli nazbyt często jest powtarzany.« — »W saméj rzeczy,« opowiadała poźniéj hrabina, »gdym do niego przyszła, musiałam tylko jeniusz jego mieć na pamięci, abym się w głos nie roześmiała. Jakże on śmiesznie wyglądał! Proszę sobie wyobrazić długi szkielet, czarno-brunatną, oliwkową skórą powleczony, twarz jak istna trupia głowa, pośród któréj jeszcze tylko oczy życiem świeciły. Około wązkich, bladych ust, igrał uśmiech złośliwy. To wszystko było w potężną perukę oprawione, na któréj się wznosiła bawełniana, karmazynową wstążką opasana, nito piramida jaka, czapka sypialna. Prócz tego miał on na sobie po kolana długą kamizelkę ze złotego brokatu i czerwony, drogiemi, błękitnego koloru sobolami, szlafrok podszyty.«

Szczęście Janina. Juliusz Janin nie nadaremnie był we Włoszech; a chociaż na tém literatura bynajmniéj nie zyskała, tém więcéj zyskał sam Janin; wygrał bowiem spaniałą, w okolicy Florencyi na loteryję puszczoną willę, na którą był wziął dwa losy. Jest ona sto tysięcy talarów warta. Juliusz Janin przyjął wiadomość o swojém szczęściu z tym samym stoicyzmem, o jakim wspomina nam Horacy: Choćby się cały ogrom świata nad jego złamał głową, on przecież i pośród gruzów stać będzie nieustraszonym. Gdy mu pocztowy sługa przyniósł w liście

jego wilę jadł podówczas śniadanie z swoim przyjacielem, i podawał mu właśnie skrzydło kapłonie, a dowiedziawszy się o tak niespodziewaném szczęściu, prosił przyjaciela swego, by i skrzydło wygranéj wili przyjął od niego w podarunku.

Nowy wynalazek. Sposób pana Durios zachowujący od ognia wszelkie materyje, papiéry i t. d. okazuje się coraz bardziéj korzystnym, a nawet wchodzi w modę. Przez ten sposób zachowują się od spalenia firanki i t. d.; można zatém śmiało zostawić na stoliku palącą się świécę, bez obawy obudzenia się śród płomieni. Damy mające na sobie drogie koronki mogą teraz bezpiecznie stać przy kominku, gdyż i takie cienkie materyje przez ten wynalazek zabezpieczone są od spłonienia.

Abd-el-Kader i jego rodzina. Lekarz francuzkiego konsulatu, doktor Varnier, podaje bardzo piękne opisanie familii Abd-el-Kadera, którą nie raz miał sposobność odwidzać pod namiotem. Zora, matka tego książęcia, pomiędzy Arabami cześć Świętéj odbiéra; podobne wyszczególnienie niewiasty u ludu mohametańskiego, jest rzeczą zupełnie nadzwyczajną. Arabka ta, jakkolwiek jest już podeszłego wieku, jednakże bystrością rozumu i spokojnością umysłu swego wprawia każdego w zadziwienie. Zna ona cały stan kraju, wszystkie na przeciw chrześcijan stosunki swego syna, i nie okazuje do nich, jak po największéj części Arabowie, nierozsądnéj nienawiści. Dobroczynnością swoją dla chorych i ubogich Arabów, a nawet dla francuzkich jeńców, jedna sobie miłość u wszystkich nieszczęśliwych. Abd-el-Kader co do związków małżeńskich, nie idzie za przykładem swojego ojca, tudzież innych magnatów i marabutów kraju; ci wszyscy, według pozwolenia koranu, mają po cztery żony. Abd-el-Kader zaś ma tylko jednę, która ma być bardzo piękną i przyjemną osobą, zresztą zaś ciche- go i posępnego charakteru, lubiącą jak największą samotność, i żyjącą tylko dla swoich dzieci. Małżonek jej poważa ją, lecz nie okazuje ku niéj wielkiego przywiązania. Mimo wszelkiéj namowy swoich krewnych nie chciał więcéj żon sobie zaślubiać, jakkolwiek związki z córkami niektorych znakomitych naczelników wielkie nastręczały mu korzyści. Abd-el-Kader zniósł wprawdzie za cudzołostwo karę, jednak z wielką surowością karze podobne wykroczenia; jestto jeden z najgodniejszych zarysów charakteru tego sławnego męża. Rodzinę tego emira składają prócz tego dwie córki, z których pierwsza zbliża się do wieku dziewictwa, druga ma zaledwo rok jeden. Jedyny syn Abd-el-Kadera umarł w październiku 1837, w czwartym roku swojego życia.

Przywiązanie lwa. Pan le Compte opowiada w najnowszych pamiętnikach swojéj podróży zdarzenie następujące: »Pewien Francuz znakomity, będąc w Konstantynopolu, odwidził sułtana imieniem rządu swego. Podczas gdy sułtan przechadzał się po dziedzińcu z Francuzem, przyskoczyły do nich dwa lwy znienacka. Francuza strach ogarnął; jednak uspokoił się, gdy sułtan na nich skinąwszy, jak psy głaskać je zaczął. Pomału odważył się gość przybliżyć do jednego, i muskał go, po jego spaniałych kędziorach. Sułtan widząc, że się mu lew podobał, na znak swojéj łaski, dał mu go w podarunku. Przybyli niewolnicy dla ujęcia go w więzy. Lew bronił się co miał siły i skaleczywszy kilku, poddał się tylko na wyraźny rozkaz swojego pana. Zamknięto go w żelazną klatkę, i miano na okręt zanieść, ale nim jeszcze do brzegu z nim zdążono, lew rozerwał więzy i zaczął ryczeć tak okropnie, iż wszyscy z przestrachem od niego uciekali. Sułtan, dowiedziawszy się o tém, sam się do portu udał. Skoro lew postrzegł swego pana, zdawało się, iż całą siłą chce rozłamać klatkę w kawałki, radość zabłysła w jego oczach; nareszcie podał swojemu panu łapę, jakby go o wolność prosił. Wszyscy obecni zdziwieni byli tak wielkiem przywiązaniem zwierzęcia ku panu swojemu. Nakoniec sułtan rzekł głosem rozkazującym: *»Fatal, allez!«* Lew układł się natychmiast, i położywszy głowę na swych nogach, dał się zanieść na okręt; poczém już się nie ruszył, nie chciał pić, ani jeść, a we trzy dni poźniéj zdechł z tęsknoty na morzu.« *Journal des Debats* zapewnia o tym wypadku.

Damy konno. Od czasu jak młoda królowa Wiktoryja objęła rządy, upodobanie dam angielskich jeżdzenia konno, weszło jeszcze bardziéj niż wprzódy w modę. Wszystkie damy starają się obecnie tylko w ten sposób siedzieć na koniu, jak siedzi przyjemna ta monarchini, a dla osiągnienia tém łatwiéj tego zamiaru, wyszła nie dawno książeczka nauczająca, pod tytułem: Nauka jeżdzenia konno dla młodych dam *(The young Lady's equestrian manual)*. Jednakże książeczka ta, poswięcona dla Amazonek angielskich, zawiera nie tylko najnowszy sposob jeżdzenia konno, ale nawet dzieje téj sztuki u dam angielskich w ogólności. W książeczce téj czytamy także między innemi, iż aż do czasu królowéj Elżbiety damy angielskie podobnie siedziały na koniu, jak po dziś dzień siedzą mężczyzni. Dopiero dziewicza ta królowa użyła do siedzenia jednobocznego siodła i wprowadziła je powszechnie w modę. Piękne drzeworyty przedstawiają odmiany, jakich w ostatnim wieku doznało ubranie dam jeżdzących konno, tudzież wyobrażają te, które w téj sztuce po dziś dzień celują w Anglii.

Koń Napoleona na teatrze. W Paryżu na małym teatrze *Saulnier* wydarzył się nie dawno tragikomiczny przypadek, mogący niebezpieczne pociągnąć za sobą skutki. Pan Devaux w sztuce z historyi: »Sto dni,« grał rolę Napoleona. W końcu ostatniego obrazu okazał się Napoleon na koniu, pośród zelektryzowanéj swojéj gwardyi z oznajmieniem, iż do Francyi powraca. Lecz ponieważ miejsce w widowni, przeznaczone do obrotów wojennych i popisów na koniach, było za ciasne; koń, chociaż co do wieku i charakteru bardzo spokojny, stanął dęba pod jezdcem, i przestraszony blaskiem światła, hukiem bębnów, dźwiękiem muzyki wojskowéj i radosnym okrzykiem żołnierzy, skoczył w orkiestrę, napełnioną muzykantami. Łatwo sobie wyobrazić można, jak widzowie zostali przestraszonymi; szczęściem, iż koń cesarza przednie nogi wbił w basetlę, w któréj uwiązł, i tym sposobem publiczność uwiadomiona przez p. Devaux, że go żaden nie spotkał przypadek, uspokojoną została.

Gęsior czuły kochanek. W prowincyi heskiéj nad Renem, w miesiącu sierpniu, zapozwano pewne małżeństwo, oskarżone o kradzież dwóch gęsi, przed sąd karnéj policyi, i z tego powodu skazano je na karę uwięzienia. Ze śledztwa okazało się, iż pierwszy ślad do odkrycia złodziei — któżby temu wierzył! — gęsior wskazał. On bowiem w przeciągu trzech dni pozbawionym był swoich dwóch towarzyszek; stratę pierwszéj zniósł z rezygnacyją i smutkiem; lecz gdy i drugą mu wydarto, wtedy serce jego zaczęło głośne rozwodzić żale. Ci, którzy władali życiem i śmiercią jego, zrozumieli wkrótce żałosną mowę owdowiałego gęsiora — z jękiem opuścił on przeznaczone dla siebie mieszkanie, które w sercu jego smutne tylko odnawiało wspomnienie i zajął stanowisko przed domem, w którym wierna towarzyszka jego życia przez złodziejskie ręce padła najokrutniejszą ofiarą śmierci. W tém miejscu biédny gęsior zaczął znowu żałosne rozwodzić skargi, aż nareszcie w pomieszkaniu złodzieja znaleziono — szkaradnie pokaleczone zwłoki, i tym sposobem sprawiedliwość z łatwością odkryła winowajców. Któż teraz powiedzieć może, iż gęsi za naszych czasów, co do zalet, ustępują gęsiom za czasów rzymskich, które niegdyś Kapitol i Rzym od zagłady zbawiły!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*